

Działalność polityczna nie jest walką o „stołki”, lecz umiejętność

Euforia wywołana powszechnym odrzuceniem w 1989 roku systemu totalitarnego, zrodziła nadzieję, iż rozpoczynamy budowanie nowej Polski, która zerwie z komunistyczną przeszłością, zrodziła oczekiwanie, że będzie to państwo każdego z nas. Dziś wiemy, że rozpoczęte pięć lat temu reformy, choć przyniosły widoczne zmiany, nie spełniły tych oczekiwań. Cena zmian okazała się niewspółmierna do efektów. Niemal połowa społeczeństwa, czego dowodzi frekwencja wyborcza, nie identyfikuje się z obecnym trybem reformowania kraju. Spektakularnym wyrazem narastającego sporu o kształt polskich reform i wizję państwa stało się obalenie przed dwoma laty, dokładnie w rocznicę czerwcowych wyborów, rządu premiera Jana Olszewskiego.

Z JANEM OLSZEWSKIM, byłym premierem rządu RP, rozmawia ANDRZEJ GELBERG

— W 1987 r., kiedy na posiedzeniu Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie dyskutowano nad zawarciem kompromisu z władzami PRL, był pan jedynym członkiem tego gremium, który apelował do Wałęsy o niespieszenie się do tych rokowań. Czy miał pan już wówczas przekonanie, że przyszłe porozumienia „okrągłego stołu” przyniosą korzyść przede wszystkim komunistycznej nomenklaturze?

— Nie. Przewidzenie wówczas dalszego biegu wypadków graniczyłoby z jasnowidzeniem. A ja nie mam żadnych metapsychicznych uzdolnień. Widziałem jednak ogromny zapal całego środowiska ówczesnych doradców Wałęsy do szukania sposobu aktywnego włączenia się w proces niesłychanie modne wówczas „pieriestrojki” tzw. realnego socjalizmu. We mnie intencje inicjatorów tego procesu nie budziły szczególnego zaufania. Poza tym było widoczne, że czas gra zdecydowanie przeciwko komunistycznemu porządkowi. Nie widziałem więc powodu do pośpiechu po naszej stronie. Nie do końca uświadamiałem sobie jednak, jak zasadniczo różniły się ostateczne cele dwu orientacji, na które dzieliła się ówczesna elita Solidarności i cała polska opozycja demokratyczna. Były to orientacje: niepodległościowa i dysydencka, reprezentowana przez ludzi, którzy w różnym czasie i z różnych powodów opuścili PZPR. Dla jednych celem ostatecznym było w pełni suwerenne i demokratyczne państwo polskie. Dla drugich — mniej lub bardziej głęboko zreformowana PRL. W otoczeniu Wałęsy przeważała ta druga grupa i po umowach „okrągłego stołu” ta właśnie orientacja zdominowała cały okres lat 1989-93.

— Ale w tym czasie, przez okres prawie pół roku, działał rząd J. Olszewskiego. Dlaczego nie stał się rządem „przełomu”?

— Rząd przełomu powinien powstać w grudniu 1990 r., po wyborze L. Wałęsy na prezydenta Rzeczypospolitej. Byłem wtedy pełnomocnikiem listy wyborczej Wałęsy i uważałem za sprawę oczywistą, że objęcie przez niego tego urzędu otworzy wreszcie drogę do zasadniczej przebudowy państwa, a przede wszystkim umożliwi jak najszybsze, w pełni demokratyczne, wybory do sejmiku, na które społeczeństwo czekało już od jesieni 1989 r. Takie przekonanie żywiła zresztą wtedy ogromna większość Polaków. Jest oczywiste, że w tych wyborach przynajmniej zwycięstwo przepadłoby ugrupowaniom niepodległościowo-solidarnościowym, popierającym Wałęsę. Powstałby wówczas silny, autentycznie proroforski obóz polityczny, skupiony wokół Belwederu.

W ciągu następnych czterech lat kadencji nowego parlamentu i prezydenta, wykorzystując niesłychanie korzystną dla Polski koniunkturę międzynarodową, można było zbudować w kraju nowy ład polityczny, prawny i społeczno-gospodarczy. Była szansa powtórzenia w nowej wersji „cudu odrodzenia” z lat 1918-21.

Wałęsa gra świadomie

— Dlaczego tych szans nie wykorzystano?

— Wszystkie atuty były wtedy w rękach Wałęsy. Może w większym stopniu, niż w listopadzie 1918 r. w rękach Piłsudskiego. Nie można powiedzieć, że Wałęsa jest zmarłował, bo w istocie on je świadomie odrzucił. Nie chcę tu rozważać, dlaczego tak postąpił. Jest jednak całkowicie pewne, że podejmując walkę o Urząd Prezydenta był już zdecydowany odrzucić program przełomu i przyspieszenia, który zapewnił mu wyborcze zwycięstwo.

— Dlaczego sądzi pan, że była to świadomie założona linia polityczna Wałęsy, a nie np. cofnięcie się przed trudnościami, z których zdał sobie sprawę najajutrz po objęciu prezydentury?

— Myślę, że taka sugestia byłaby niedocenieniem zmysłu politycznego Wałęsy. Są zresztą na to dowody. Po pierwszej turze wyborczej, gdy po odpadnięciu kandydatury Mazowieckiego nie ulegało już wątpliwości, że wybór Wałęsy jest całkowicie pewny, zwrócił się do mnie o podjęcie przygotowań do zorganizowania przyszłego rządu. Byłem jedynym z współautorów prezydenckiego programu wyborczego i wydawało mi się zupełnie naturalne, że rząd, który mam tworzyć, powinien przyjąć nazwę „rządu przełomu”. Przesądzało to zarówno o jego programie, jak i składzie osobowym. Podejmując powierzone mi zadanie, powiedziałem o tym Wałęsie. Przyjął to bez sprzeciwu.

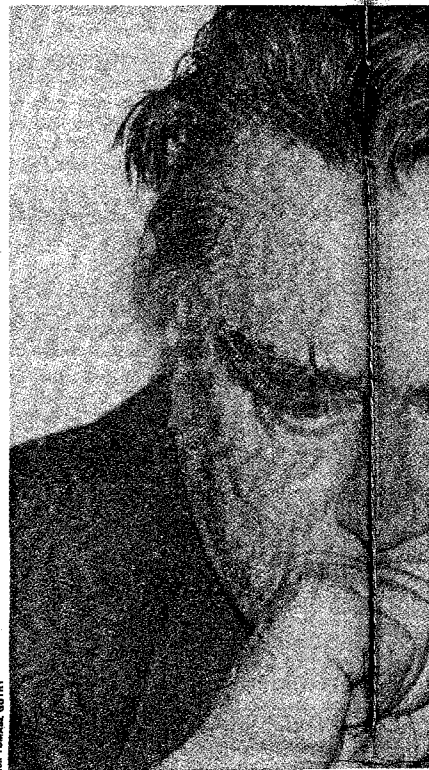
Nigdy nie należałem do kręgu jego najbliższych doradców, jak Geremek, Mazowiecki czy Michnik, ale współpracowałem z nim dostatecznie blisko i długo, aby nie mógł mieć żadnych wątpliwości, że to, co powiedziałem, traktuję poważnie. Musiał sobie także w pełni zdawać sprawę, że nie należę do ludzi łatwo zmieniających zdanie. Gdy w trzy tygodnie później prezydent przekazał mi faksem z Gdańska, jako swoją propozycję nie do odrzucenia, skład rządu z wicepremierem Balcerowiczem i admirałem Kołodziejczykiem na czele, nie miał, jak sądzę, nawet cienia złudzeń, że uzyska na to moją zgodę.

Niepowodzenie pierwszej próby powołania nowego rządu prezydenckiego musiało wywo-

łać nieuchronnie hałas w środowiskach masowego przekazu, z pozoru bardzo dla Wałęsy, nieprzyjemny. Rodzi się więc pytanie: po co w ogóle podejmował taką próbę? Przecież miał wówczas całkowitą swobodę w wyznaczeniu premiera swego rządu. Mógł od razu powierzyć tę misję J.K. Bieleckiemu lub komukolwiek innemu z grona swych faworytów. Stojący wówczas bardzo blisko Wałęsy J. Kaczyński w swojej wspomnieniowej książce pisze, że od początku posiadał pewność, iż ta decyzja Wałęsy miała charakter całkowicie pozorny. Wyjaśnienie jest tylko jedno: prezydent chciał w ten sposób przekazać ważny sygnał dla zainteresowanych czynników krajowych i zagranicznych, że wbrew wcześniejszemu hasłom wyborczym zarówno porozumienia „okrągłego stołu”, łącznie z zasadą osławionej „grubej kreski”, jak i założenia polityki gospodarczej, wynikające z planu Balcerowicza, będą przez niego w całej rozciągłości nadal respektowane. I o to tylko naprawdę w tej sprawie chodziło.

— Jednak w rok później, w grudniu 1991 r., podjął się pan ponownie misji tworzenia rządu z nominacją L. Wałęsy. Czy uważał pan, że stanowisko prezydenta wobec pana osoby uległo w tym czasie zmianie?

— Nie. W tej sprawie nie było żadnej wątpliwości. Po jesiennych wyborach 1991 r. moją kandydaturę na premiera wysunął blok partii centroprawicowych, który w tym momencie reprezentował zdecydowaną większość w sejmie. Po niepowodzeniu misji tworzenia rządu przez B. Geremka, prezydent wiedział, że nie ma możliwości przeciwstawienia się wprost woli sejmu. Wykonał więc ruch dla siebie charakterystyczny: przesłał do sejmu pismo rekomendujące mnie na stanowisko



DR TOMASZ GUTYR

Gorzki smak r

premiera, a zaraz potem, w trakcie rozmów nad obsadzeniem resortów prezydenckich, oświadczył, że nie widzi możliwości naszej współpracy. Dopiero po ponownym potwierdzeniu znaczącej większości przez sejm rządu, Wałęsa ustąpił, zresztą tylko formalowo.

Rząd powstawał więc w dramatycznie trudnych warunkach. Miał bowiem przeciw sobie prezydenta, a koalicja popierająca go w parlamencie szybko zaczęła się kruszyć. Pod naciskiem Belwederu prędko wycofali się z niej liberalowie. Od początku czynnikiem niepewnym była KPN. Rodzi się pytanie, czy w tych warunkach należało tę misję w ogóle podejmować. Uważałem wówczas i uważam dzisiaj, że było to konieczne. Uchylenie się od niej byłoby bowiem jednoznaczne z dobrowolną rezygnacją obozu niepodległościowego z przyjęcia odpowiedzialności za przyszły kształt państwa. Oznaczałoby, że pierwszy, po pół wieku, wyłoniony w wolnych wyborach polski sejm nie jest w stanie powołać rządu Rzeczypospolitej. Byłaby to kompromitacja naszej demokracji. Nie wolno było do tego dopuścić.

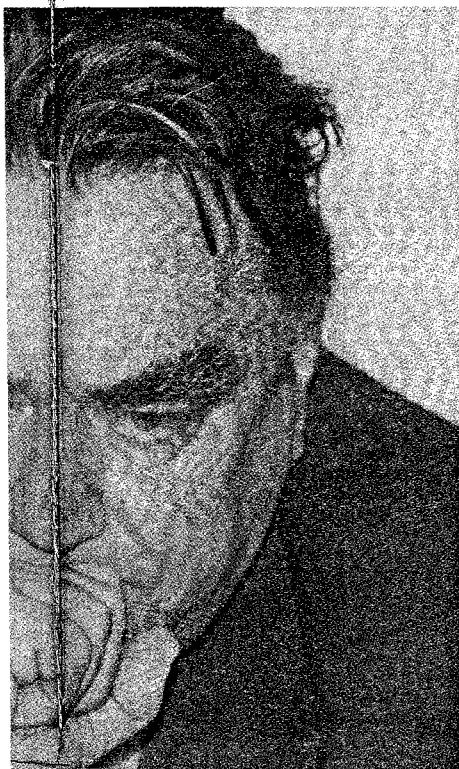
Dla tej jednej sprawy...

— Wiele osób zarzucało panu prowadzenie nadmiernie ostrożnej polityki, a zwłaszcza niezrozumiałą wręcz ustepliwość wobec prezydenta. Czy bardziej stanowcza postawa, np. w obronie ministra Parysa, który przeciw postułowal energiczną desowietyzację wojska, nie przyniosłaby rządowi większych korzyści?

— W polityce, tak jak w medycynie, powinna obowiązywać naczelną zasadą: przede wszystkim nie szkodzić. Tymczasem nasze ówczesne rozpoznanie rzeczywistej sytuacji państwa i gospodarki było bardzo słabe. Np. resort finansów nie potrafił określić wysokości nie uregulowanych zobowiązań budżetu za rok 1991. Spierano się, czy te należności wynoszą 30 czy może 60 bilionów zł. Nie było projektu budżetu na rok następny. Po wicepremierze Balcerowicz pozostało tylko prowizorium budżetowe na I kwartał 1992 r., w którym nic już nie można było zmienić, bo po prostu nie było na to czasu. Rząd podjął przecież pracę 24 grudnia 1991 r. Uważam za wielki nasz sukces, że w tych warunkach udało się w ciągu zaledwie paru miesięcy ożywić produkcję, powstrzymać wzrost bezrobocia oraz uzyskać prawie miliard dolarów nadwyżki w bilansie handlowym. Tych faktów zupełnie nie dostrzegali oponowane przez środowiska lewicowe środki masowego przekazu. Do dziś jest to zresztą starannie zacierane w świadomości społecznej.

To właśnie sprawy elementarnego porządkowania finansów publicznych pochłaniały najwięcej naszego czasu. Niewiele go pozostawiało dla potrzeb bieżącej gry politycznej. Dyktano m.in. starałem się zachować choćby tylko poprawne stosunki z prezydentem. W imię ich utrzymania poświęcona została sprawa np. telewizyjną, którą podporządkował sobie całkowicie Belweder. Wówczas uważałem to za cenę politycznie opłacalną, chociaż z dzisiejszej perspektywy można to widzieć inaczej.

Rząd był jednak niustepliwy w kwestiach zasadniczych dla bezpieczeństwa państwa.



bierający się do Moskwy Wałęsa. Stawką w tej walce było niedopuszczenie do usadowienia się na terenie baz B. Armii Radzieckiej tzw. mieszanych spółek handlowych. Otwierało to możliwości powstawania obszaru nie kontrolowanego przez polskie władze i instalowania tam ekspozytur obcego wywiadu. Była to sprawa o istotnym znaczeniu, że dla jej realizacji trzeba było bezwzględnie poświęcić honor ministra, i prestiż premiera. Sądzę, że Parys podzielał to przekonanie, składając wyprzedzającą dymisję.

— W sprawie traktatu rosyjskiego rząd zagrał *va banque* i wygrał. Czy nie jest to wskazówka, że taką metodę postępowania trzeba było stosować częściej?

— Uważam tę sprawę za najważniejszą w ciągu całego półrocza działania rządu. Jeśli by temu rządowi nie udało się już nic więcej zrobić, to dla tej jednej sprawy warto było narazić się na te wszystkie ataki, pomówienia i kalumnie, które na nas spadły. To było ważne dla Polski i to pozostanie. Ale właśnie dlatego podobnej metody postępowania nie wolno przenosić na kwestie nie mające tego wymiaru i takiej wagi dla polskiej racji stanu.

— Jednak L. Wałęsa miał w tej sprawie inne zdanie. Po powrocie z Moskwy mówił: do czego to doszło, musiałem zmieniać swój plan polityczny wskutek presji ze strony rządu.

— Było to stanowisko dla mnie niezrozumiałe. Wyniki rozmów w Moskwie uważałem za wspólny sukces. Z parafowanego przez nasze MSZ i przygotowanego do podpisania dokumentu udało się w ostatniej chwili wykreślić zapis o nieobliczalnie szkodliwych dla nas konsekwencjach. Prezydent, z niezrozumiałych dla mnie powodów, traktował to jako swoją poraż-

— Nietrudno sobie wyobrazić, że gdyby „sprawa teczek” nie stała się, nie taka byłaby agonia tego rządu.

— Można było oczywiście poszukać jakiegoś innego pretekstu, ale to wymagało czasu. A ci, w których interesy lustracja uderzała bezpośrednio, najwyraźniej czekać nie chcieli. Ludzie, którzy dobrze znają zawartość tych archiwów, są przekonani, że czekać po prostu nie mogli.

— Jak wobec tego wytłumaczyć, że w tym sejmie w ogóle mogło dojść do podjęcia uchwały zobowiązującej min. Macierewicza do ujawnienia zawartości tych teczek?

— Wiele osób dopatruje się w tej sprawie śladów skomplikowanej prowokacji. Nie znam jednak na to żadnych przekonujących dowodów. Przypuszczam, że mechanizm wywołania tej uchwały był zupełnie inny. Już w okresie jesiennych wyborów 1991 r. kierownictwo UOP dokonało cichej lustracji list kandydatów. Powstała z tego tzw. lista Milczanowskiego, o której zawartości krążyły potajemnie wieści w gabinetach i przedpokojach różnych urzędów. Dla tych parlamentarzystów, którzy nie ulegli jeszcze nastrojom moralnej prostracji, stwarzało to sytuację trudną do zniesienia. Mieli świadomość, że zasiadają w parlamencie na wspólnych ławach ramię w ramię z bytymi agentami bezpieki. Przyna pan, że jest to sytuacja psychologicznie niezbyt komfortowa. Znosili to, póki było wiadomo, że rząd przygotowuje ustawę lustracyjną, która rozwiąże ten problem. Otóż, w końcu maja 1992 r. było już widoczne, że ten rząd nie może się zbyt długo utrzymać. A żaden następny nie będzie miał już woli ani możliwości przeprowadzenia uczciwej lustracji. Uchwałę podjęto więc w nastroju pewnego rodzaju desperacji. Ten pośpiech spowodował zapewne, że w dosłownym zapisie była ona niewykonalna. Min. Macierewicz postarał się nadać jej racjonalny charakter, proponując przyjęcie wiarygodnej procedury weryfikacji przekazanych parlamentowi materiałów.

To właśnie, jak się zdaje, stanowiło największą groźbę dla wszystkich zainteresowanych. Większość sejmowa ugłębia się pod ich naciskiem i posłuszenie zdezawutowała swoje własne stanowisko. W ten sposób sejm sam pozbawił się politycznej i moralnej wiarygodności. Następny rok jego trwania był już tylko rozciągniętym w czasie aktem politycznej agonii. Jednak samego problemu „teczek” nie udało się wdeptać w ziemię. Mimo wszystkich wysiłków min. Milczanowskiego, wraca on w różnych aspektach: czy to wymiaru sprawiedliwości (np. sprawa zabójstwa Pyjasa) czy życia gospodarczego (afery FOZZ i inne). Dowodzi to, że bez jej rzetelnego wyjaśnienia nie da się uzdrowić życia publicznego w Polsce.

...minionych lat

Dotyczyło to w szczególności usuwania najbardziej znanych przedstawicieli prosowieckiej nomenklatury z kierownictwa wojska i służb specjalnych. Taka też w istocie była przyczyna konfliktu o ministra Parysa. Wybuchł on po odwołaniu ze stanowiska szefa wojskowych służb informacyjnych, admirała Wawrzyniaka. Jak wielu innych zasiadających wojskowych dygnitarzy PRL, szukał on oparcia w otoczeniu prezydenta. W szczególności w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego, instytucji o nieokreślonych kompetencjach, stanowiącej część kancelarii prezydenckiej. Parys starał się ograniczyć jej bezpośrednie ingerencje w sprawę wojska. Stąd konflikt, do którego pretekstem była jedynie wypowiedź ministra na jednej z odpraw w Sztabie Generalnym.

Z tej okazji skorzystała także Unia Demokratyczna, rozpoczynając na forum sejmu zaciekle atak na min. Parysa i całą politykę obronną rządu. Nigdy nie widziałem T. Mazowieckiego w takim stanie bojowej euforii, jak podczas przesłuchania kierownictwa MON przez specjalną sejmową komisję śledczą, powołaną na życzenie prezydenta. Było oczywiste, że wnioski tej komisji będą zmierzały do odwołania Parysa i że w wyniku współdziałania zwolenników Belwedera, Unii i postkomunistów — uzyskają one poparcie większości posłów.

Stawiając kwestię zaufania dla całego rządu naraziłbyśmy się na niemal pewną klęskę. Mimo to rozważałbym możliwość podjęcia takiego ryzyka, gdyby nie to, że w tym samym czasie, za kulisami gabinetów rządowych i belwederskich, rozpoczęła się już walka o kształt porozumień, które miał wkrótce podpisać wy-

kę. Takiej sprawy nie wolno traktować w kategoriach osobistego prestiżu, bo w istocie rozdział ról po naszej stronie, choć nie uzgodniony, był dla tej rozgrywki bardzo korzystny. Usprawiedliwione powody do niezadowolona mogła mieć tylko strona rosyjska. Tymczasem Wałęsa właśnie wtedy podjął decyzję wystąpienia do sejmu z wnioskiem o odwołanie rządu i ogłosił to natychmiast po powrocie do Warszawy. Od tej chwili trudno było myśleć o dalszej współpracy rządu i prezydenta.

Trzeba było rozbroić tę bombę

— Jednak rząd upadł dopiero w momencie, kiedy wynikła „sprawa teczek”. Pointa była jak w greckim dramacie. Wszyscy to widzieliśmy na własne oczy. Pana przemówienie, na pięć minut przed ostatecznym głosowaniem, było jednym z najbardziej dramatycznych, jakie słyszałem. Do zbiorowej pamięci przeszło na pewno to, że był rząd, który upadł z powodu „teczek”. Czy pan uważa, że to był sukces, iż egzekucja nastąpiła właśnie w taki sposób?

— Nie, nie uważam. Choć muszę powiedzieć, że jeżeli musiało to nastąpić, to dobrze, że stało się to przy okazji punktu, który nie był tylko pretekstem, ale stanowił ważną — może nawet kluczową — sprawę dla sytuacji państwa. Problem archiwów pozostałych po komunistycznej Służbie Bezpieczeństwa określiłem jeszcze w 1990 r. jako mój z opóźnionym zapłonem, którą trzeba rozbroić jak najszybciej, gdyż inaczej może zagrozić fundamentom ładu państwowego. Tę opinię nadal w całej rozciągłości podtrzymuję.

Błędy centroprawicy

— Głosy oddane w wyborach wrześniowych na centroprawicę „zaowocowały” w większości mandatami poselskimi partii postkomunistycznych. Za taki efekt, nietrudny do przewidzenia, odpowiedzialni są liderzy przegranych partii. Przecież decyzja pójścia do wyborów oddzielnie musiała w sposób oczywisty prowadzić do przegranej.

— Ma pan rację. Strategia odrębnych list była w tych wyborach zabójcza. Co więcej, wszyscy, no, prawie wszyscy przywódcy centroprawicy głośno to mówili. Dlaczego więc do koalicji nie doszło? Myślę, że przede wszystkim z zupełnie błędnego rozpoznania rzeczywistego stanu nastrojów w społeczeństwie oraz nieprawdopodobnego zadufania postsolidarnościowej elity politycznej we własne możliwości i wpływy. Proszę zwrócić uwagę, że ta fatalna, by nie powiedzieć, oszukiacza, ordynacja została uchwalona także dzięki głosom posłów centroprawicy. Poparli ją nie tylko Unia Demokratyczna i SLD, ale także KPN i PC. Wszyscy więc wierzyli, że załuszczenie

reprezentatywności rzeczywistego układu sił w przyszłym sejmie będzie działało na ich korzyść, bo właśnie oni okazały się najsilniejsi. Żadne ostrzeżenia nie skutkowały. To samo przekonanie o własnej sile dyktowało strategię wyborczą.

W planach wyborczych zakładano bowiem, zresztą słusznie, że stanowiący znaczną część społeczeństwa stały, twardy, przekonany elektorat centroprawicy jest wspólny dla czterech, pięciu czy nawet większej liczby ugrupowań. Wyborca chętnie głosowałby na wszystkie te ugrupowania razem, ale jeśli nawet nie wystawią one wspólnej listy, to i tak na którąś z nich odda swój głos.

Sukcesu wyborczego można było szukać w dwu różnych obszarach. Albo walczyć o poparcie dla własnej listy jak największej części stałego prawnicowego elektoratu, albo też wybrós poza jego obręb i starać się pozyskać tych wyborców, którzy mogą nas poprzeć, ale nie muszą: może pójdą do wyborów, może nie, a może nawet zagłosują na listę przeciwną. Większość ugrupowań centroprawicowych nastawiła się na walkę między sobą o ten elektorat, który był jakby wspólną ich własnością. Wyjście bowiem poza obręb własnego elektoratu wymagałoby wielkiego wysiłku programowego, analizy konkretnych potrzeb i problemów, na których rozwiązanie nie ma łatwych recept, zwłaszcza jeśli mają to być recepty realne.

Większość tzw. centroprawicy uchyliła się od tego wysiłku. Łatwiej było wygłaszać ogólniki o przywiązaniu do wartości chrześcijańskich i tradycji narodowej. Zabrakło w tych programach odpowiedzi na konkretne pytania gniejące dziś większość Polaków — o możliwość uzyskania godziwego wynagrodzenia za pracę, o przeciwdziałanie bezrobociu, o przełamanie biurokratycznego bezwładu i likwidację korupcji w aparacie państwa itd. Brak kompleksowego, a zarazem pragmatycznego programu odpowiadającego na te pytania — to był największy mankament wszystkich postsolidarnościowych ugrupowań. I zarazem główna przyczyna ich wrześniowej, wyborczej porażki.

— Czy taki program był jednak w ogóle możliwy? Może to nie przypadkiem, że w ciągu minionych czterech lat nie udało go się stworzyć.

— Tak twierdzili zawsze władcy PRL. Władza komunistyczna w swoich kolejnych wcieleniach i na kolejnych etapach nigdy nie miała polityczno-programowej alternatywy. Tę założoną z góry bezalternatywnie odziedziczyła po niej polityczna ekipa „okrajłego stołu”. Plan Balcerowicza był równie bezalternatywny, jak Gierkowska „druga Polska” czy realny socjalizm, broniący jak niepodległość przez Jaruzelskiego i Kiszczaka. I tak samo nie było to prawdą. Sąsiadki przykład Czech dowodził nacoście, że proces „ustrojowej transformacji” można było przeprowadzić inaczej. Nieporównanie niższym społecznie kosztem i ze znacznie lepszymi wynikami. Ale czy o tym ktoś coś wie w Polsce? Czy ktoś się tym interesuje? A przecież ten utrwalony historycznie monopol lewicy na prawdę i słusność można i trzeba przełamać.

W latach siedemdziesiątych uczestniczyłem w takiej próbie. Działające wówczas konspiracyjnie Polskie Porozumienie Niepodległościowe zgromadziło grupę ludzi, którzy podjęli — jak się wówczas wydawało — nieréalne ambitne zadanie — przygotowania intelektualnych i moralno-politycznych podstaw przyszłej, suwerennej Rzeczypospolitej, która byłaby alternatywą dlawiącego polskie społeczeństwo Peerelu. Gdy sięgam dzisiaj po te potajemnie wtedy pisane i rozpowszechniane teksty, rzuca się w oczy, jak wiele poruszanych tam tematów zachowało pełną aktualność. Uważam,

Gorzki smak minionych lat

DOKOŃCZENIE ZE STR. 13

że dzisiaj warto byłoby może powtórzyć jawnie tamtą konspiracyjną, intelektualną przygodę, która wówczas połączyła grupę ludzi o bardzo różnych postawach i poglądach, mających ze sobą tylko jedno wspólne: wolę niepodległości.

Co oznacza uprawianie polityki?

— W trakcie naszej rozmowy przypomniał mi się biogram Abrahama Lincolna, który w swojej karierze politycznej nieraz ponosił ciężkie pora-

żki. Jednak zawsze, w trudnych momentach, miał poparcie ludzi, którzy wierzyli w niego i zachęcali do dalszych trudów. Dzisiaj jest pan postrzegany, jako polityk przegrany. Wiem także, że są ludzie, którzy nadal lokują w panu swoje nadzieje i perspektywy. Kim jest dzisiaj, we własnej ocenie, Jan Olszewski?

— Jestem z zawodu prawnikiem, więc znana mi jest stara rzymska zasada, że nikt nie może być sędzią we własnej sprawie. Wyznam jednak, że nie zgadzam się z popularnym dziś poglądem, iż miarą skuteczności polityka jest zdolność utrzymywania się na zajmowanym stanowisku w każdych warunkach i uczest-

niczenia w grach politycznych za każdą cenę. Działalność polityczna — jeśli ma mieć pewien wymiar — nie jest walką o „stołki”, lecz umiejętnością realizowania celów wyznaczonych wartościami, w imię których się ją podejmuje. I nie zawsze nagrodą za osiągnięcie celu jest zwycięstwo i uznanie w oczach współobywateli. Wystarczy przypomnieć np. Winstona Churchilla, który wygrał dla Anglii wojnę i zaraz potem katastrofalnie przegrał wybory.

Dla mnie doświadczenie lat 1989-93 ma gorzki smak. Nie ze względu na zdobywane czy tracone w tym czasie stanowiska i tytuły, tylko z tego powodu, że nie udało się nam, a myślę tutaj o wszystkich politykach niepodległościowej orientacji, wygrać dla Polski znakomitej większości szans, jakie niósł ten czas i że nie zdołaliśmy zapewnić krajowi perspektyw bezpiecznej przyszłości. I z tego, a nie z ankietowej popularności czy gazetowego rozgłosu, będziemy wszyscy kiedyś rozliczani przez następne pokolenie Polaków.

— W ciągu ostatnich miesięcy wielokrotnie mówił pan, że trzeba wrócić do Solidarności. Co to oznacza?

— W ciągu czterech lat „transformacji ust-

rojowej” nie została przeprowadzona żadna z zasadniczych reform, niezbędnych dla stworzenia trwałych podstaw demokratycznego państwa i wolnej gospodarki. Nie przeprowadzono reprivatyzacji ani prywatyzacji powszechnej, nie dokonano strukturalnej dekomunizacji aparatu państwowego. Nie zreformowano oświaty, służby zdrowia, systemu ubezpieczeń społecznych. Nie ma nadal instytucji skarbu państwa, ani określenia roli i zakresu sektora publicznego w gospodarce. Listę tych zaniechań można mnożyć. Zdominowanie parlamentu i przejęcie rządu przez koalicję partii peerelowskiej nomenklatury oznacza ostateczne zablokowanie procesu przebudowy. W tej sytuacji roli Solidarności nie da się sprowadzić do klasycznych zadań związkowych. Pozostaje ona nadal jedyną siłą potencjalnie zdolną do nadania nowego impulsu przemianom społecznym i ustrojowym. Dlatego zadaniem chwili jest znalezienie przez nią nowej formuły ruchu społecznego, nawiązującej do tradycji Sierpnia 1980 r., ale określonej warunkami i wyrażającej potrzeby Polski dzisiejszej.

Rozmawiał ANDRZEJ GELBERG